

TOMASZ BOCHIŃSKI

Cudowny wynalazek pana Bella

No dobra, opowiem...

Tego dnia, szanowna publiko, nie byłem w najlepszym nastroju. No wiecie, jak to jest, gdy was ukochana kopnie w dupę. Nie, miłe panie, ja niczego nie sugeruję...

Opowiadać? Się robi. Właściwie standardowo po takim zdarzeniu powinienem się upić w trupa, a potem powtarzać zabieg aż do całkowitego zaniku sieci neuronów odpowiedzialnych za uczucia wyższe. Zyskałbym na dzielnicy wierne grono przyjaciół, trwały alkoholizm i wszystko byłoby git, czyli normalnie.

Ja jednak postanowiłem być oryginalny. Taak... Kategorycznie odmówiłem chłania, budząc niepomierne zdumienie koleśków; tacy byli współczujący, że chcieli stawiać, sądząc, że groszem nie śmierdzą, i że zgrozą przyjęli odmowę. Ostatnio jeden kumpel zaniechał picia, a rano znaleźli nieboraka wiszącego na żyrandolu. Ząbkowska i nawet część Brzeskiej przypuszczały, że zmierzam w ślady wisielca. Cóż, ludzie na Szmulkach są w porządku, czasem jednak zbyt konserwatywnie podchodzą do świata.

Jesteś nieszczęśliwy – napij się wódki. Szczęście cię rozpiera – stawiaj gołdę. Nie wiesz, czy jest tak, czy siak – walnij setę, rzecz się wyjaśni.

A Maryjka zamieniła mnie na jednego palanta w garniturze: „Bo on nie pije tak jak ty”. Pewnie nie, a oprócz tego miał brykę i prowadził prywatny biznes. Jak mogłem z nim rywalizować? Powiedźcie.

Ale postanowiłem zmienić coś w życiu. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to wyremontować chałupę. Umęczone się, myśli zajmę, a efekt pozytywny będzie. I postąpiłem jak w starym dowcipie o kupowaniu samochodów; pamiętacie: facet nabył dziurkowane rękawiczki i do nich dobierał limuzynę. Tak i ja, zwiedziwszy targ staroci na Kole, powróciłem z łupem. Dźwigałem dumny i prawie szczęśliwy aparat telefoniczny, gdzieś tak na oko z lat dwudziestych.

Żdziwko widzę w oczach przepięknych. Że telefon? Miła, jak go odczyściłem i ustawiłem w przedpokoju, to całe pomieszczenie aż blasku nabrało. Wysoki, srebrny, ze słuchawką wykładaną szlachetnym drewnem – jedyny sprzęt z klasą w całym zapuszczonym mieszkaniu. Komórki? No nie, bracie – wtedy, w połowie lat dziewięćdziesiątych, występowały rzadziej niż śnieg w maju. A drogie tak, że nawet nowy men Maryjki – Tadek w Garniturze, mocno się w łeb pusty drapał, czy zabawkę nabyć.

Napatrzywszy się na telefon, ruszyłem do przesuwania gratów. Komody przepchnąć nie mogłem, trzeba było wybebeszyć ciężkiego grzmota. Skończyło się na tym, że zasiadłem na podłodze pośrodku pokoju, obłożony skarbami i pamiątkami rodzinnymi. A w lodówce znalazłem dwa browary. Piwo do sześciu sztuk to przecież nie alkohol. Nieprawdaż? I tak jakoś zrobiło mi się trochę lepiej. Z zapałem wertowałem albumy ze zdjęciami, coraz bardziej zagłębiając się w przeszłość. Nie rozpoznawałem twarzy, ale szczęściem fotografie opisano, i to dość skrupulatnie. Jedna fotka zaciekała mnie niezmiernie, aż wyjąłem sepiowy kartonik, by obejrzeć go dokładnie. Przodek w tużurku i sztuczkowych spodniach, gładko uczesany z przedziałkiem, siedział na krześle z powagą wpatrzony w obiektyw. Zdjęcie solidne, podklejone grubym kartonem, na plecach miało wyraźną pieczętkę: nazwisko fotografa, adres i numer telefonu. A nawet ręcznie wypisaną datę. Obracałem zdjęćko w palcach, nadśluchując. Niestety, piękny aparat telefoniczny milczał przez cały wieczór. A ja, nie ukrywam, czekałem w napięciu. Może Maryjka zadzwoni? Nie ma mądrych w takiej sytuacji. Nic jednak poza wrzaskami dzieci na podwórku nie przerywało ciszy. Szarańcza gówniarzy ryła trawnik przed kapliczką, skąd całkiem niedawno ekshumowano szczątki pozostałe po powstańczym cmentarzyku. Każdy znaleziony guzik czy drobna moneta wywoływały nowy przypływ entuzjazmu.

Skoro tak, ja zadzwonię, pomyślałem. Jednak gdy zimna słuchawka dotknęła ucha, stchórzyłem. Ale żeby ukryć to przed sobą samym, wykręciłem pięć cyfr zapisanych na zdjęciu. I czekałem na głos panienki kwitujący wybranie dawno nieistniejącej centrali drętym tekstem: „Nie ma takiego numeru, nie ma takiego...”.

– Allo? – świeży dziewczęcy sopran przyprawił mnie o opadnięcie szczęki i wytrzeszcz oczu. Lustro przy wieszaku ukazało obraz zdumionego kretyna.

– A... allo? – sopranik mimo zniekształceń i „blaszanego” przydźwięku wyraźnie oddał niepewność dziewczęcia.

Odchrząknąłem i wykrztusiłem:

– Czy to zakład fotograficzny?

– Taak... – śpiewnie przeciągnęła dziewczyna. – Niestety, już nieczynne. Nikogo nie ma.

– Z duchem rozmawiam? Panno słodka! – zyskałem nieco na pewności, wchodząc w rolę klienta.

– Ach nie – głos rozjaśnił uśmiech. – Z krwi i kości jestem. Jednak – dodała rzeczowo – zakład pracuje do siódmej wieczór. A teraz już...

– Późno – wpadłem w słowo. – Przepraszam...

– Taak. Ale nie tak bardzo... – Uśmiech ciągle trwał.

– Cóż. Zadzwoń innym razem.

– Proszę. Bo ja tu tylko mieszkam.

– Dobrej nocy życzę.

– Ja też.

Stałem ze słuchawką przy uchu, urywany sygnał brzęczał bez końca. Zaciekawiła mnie „fotograficzna” panienska. Rozmawiając, czekała na odpowiedź, skupiona, nie drażnił jej natręt; nie spoglądała jednym okiem w telewizor czy gazetę. Takie rzeczy wyczuwa się przecież. A ja przez całe dwie minuty nie myślałem o Maryjce.

Wykręciłem ponownie numer fotografa.

– Allo?

– Miła panno... Przepraszam... To znowu ja.

– Tak? – głos zabrzmiał łagodnym zdziwieniem.

– Chciałem zapytać... Czy mogę kiedyś zadzwonić?

Zdziwienie urosło.

– Przecież...

– Do pani, madame – wyjaśniłem szybko. Cisza zupełna zaległa w słuchawce.

– Proszę, błagam, do stópek przepięknych upadam – rzuciłem rymem „częstochowskim”.

– A skąd wie, że przepiękne...? – Śmiech czał się tuż pod powierzchnią słów.

– Wie, wie. Inaczej być nie może, milady.

– Ale pan śmiesznie mówi...

– Więc zgoda?

– Doobrze. Bywam tu wieczorami...

– Pięknych snów życzę – powiedziałem.

– Dziękuję – głosik zabrzmiał cienko, dziewczynkowato. I już jej nie było.

Spałem jak dziecko. Kuźwa, rano... Że co, kochaneńka? Mam się nie wyrażać jak żul z Pragi? Ależ ja jestem żulem z Pragi. Tam urodzony, tam wypilem pierwsze dwie wanny wódki. Zresztą, święta naiwności spod Morąga, żebyś ty słyszała, jak nawijają kolesie z Brzeskiej czy Stalowej... Nie, wcale nie chcę nikogo obrażać. W każdym razie nie za bardzo. A teraz może wróćmy do naszych baranów. Właśnie. Też tak sądzę.

Rano, jak mówiłem, humor jakiś miałem lepszy. Do południa nieźle szarpnąłem robotą. Meble stanęły w ordynku pośrodku pokoi. Nawet zacząłem zmywać ściany. Wreszcie uznałem, że czas na obiad. Jak stałem, tak i wypadłem na dwór w poplamionym podkoszulku i porwanych sztanach. Kogo to obchodziło na Ząbkowskiej. Wracalem z zakupami przez podwórko, gdy wpadłem na Desanta. To kumpel jeszcze z podstawówki. Wojo odpękał w „Czerwonych Beretach”, stąd ksywa. Obaj mieliśmy kiepsko u dzielnicowego. Niejedną wspólną partaninę zrobiliśmy. A obalonych razem flaszek nie podejmuję się policzyć. Przybił piątkę, ale widzę, gościu coś niewyraźny. W oczy nie patrzy, z nogi na nogę przestępuje.

– Co jest, Desant? – zagailem, bo pomiędzy nami tajemnic nie było.

– Trouble Dżej Dżej – wyangielszczył się, miał ten zwyczaj.

Jeden temat wirował mi we łbie, więc rzuciłem:

– Kobita?

Westchnął ciężko i przytaknął. Głupio zabrzmiało, ale lepiej mi się zrobiło. Desant był twardy, skoro jego wzięło, i ja nie miałem powodu do wstydu.

– Słuchaj – powiedziałem. – Wczoraj miałem taki przypadek. Nakręciłem numer 401-81 i... Wyobraź sobie, uzyskałem połączenie. Kumasz coś z tego?

Przez chwilę milczał, jakby nie rozumiał, co mówię, patrzył gdzieś w bok, a potem nagle wydarł jadaczkę na pełny regulator:

– Spierdalaj, gówniarzu!

Zdumiałem.

– Sorry, chłopie – powiedział. – Musiałem pogonić obsrańca. – Wskazał umykającego małego rudzielca.

– Młody Duda... – mruknąłem.

– No właśnie. Braciak kupił mu procę na bazarze i gówniarz morduje koty. Zgnilizną pod oknami zajeżdża niemożliwie... A co do telefonu... Centrale reagują na numery sześciocyfrowe...

– Ale naprawdę!

– Coś musiało przeskoczyć i połączyło cię z zupełnie innym numerem. Te centrale to rzęchy. Dobra, muszę lecieć. Jak sprawę wyjaśnię, większą wódkę zrobimy – rzucił, już odchodząc.

Nie kupiłem teorii Desanta. Dwa razy centralka się pomyliła? No i przecież dziewczyna mówiła, że to zakład fotograficzny. Ale niepewność pozostała. Toteż w domu natychmiast wybrałem numer fotografa. W słuchawce trwała głucha cisza, a potem rozbrzmiało bełkotliwe: „Nie ma takiego numeru”. Przystałem kręcić dopiero, gdy rozboleł mnie palec.

Przez resztę dnia mimo intensywnego arbatu czułem się nieswojo. Jakbym coś wartościowego stracił... I wiecie co? Wcale nie chodziło o Maryjkę.

Mało razy rozmawiałeś z kimś omyłkowo, frajerze? – mówiłem do siebie, szpachlując dziury w ścianach, ale nie pomagało. Durne uczucie. Udało mi się przestać o tym myśleć, ale wtedy przed oczyma ujrzałem jak żywą Maryjkę – nagą w objęciach Tadka, który nawet przy tej okazji nie zdjął Garnituru. Tobie odpiędała, koleś, pomyślałem i o zmierzchu pobiegłem po flaszkę.

Nie ma co się krzywić. Tak było.

Nie ze wszystkim jeszcze uległem pokusie. Postawiłem flachę na szafce. Obok musztardówkę. W końcu ma się klasę – nie pijam z gwinta. Jednak zanim zerwałem nakrętkę, wziąłem metalowy kosz i wrzuciłem do niego wszystkie pamiątki po mojej kobiecie: zdjęcia, pluszowego misia, jakieś listy, a nawet zaplątany w pościeli biustonosz. Potem całość polałem benzyną i rzuciłem zapalnik. Flacha błysnęła zachęcająco, odbijając płomień. By odwlec chwilę upadku, wykręciłem znany mi już na pamięć numer. Po ostatniej cyfrze – rozbrzmiała szmerem zakłóceń cisza. Butelka wyszczerzyła się do mnie ironicznie.

Nagle rozbrzmiał normalny sygnał, a potem usłyszałem srebrzysty sopran:

– Allo?

Flaszka łypnęła złowrogo niebieską etykietą. Ja zaś, pełen ulgi, przycisnąłem słuchawkę ramieniem i posłałem „Bałtyckiej” gest Kozakiewicza.

– Witam i do nówek upadam, przepraszam, jeżeli głupstwa gadam – rzuciłem z marszu.

„Pomyłka” nie rozchichotała się, jakby to uczyniła moja była.

– Aaa, to pan... – rzekła jakimś nieobecnym tonem.

– Przeszkadzam?

– Tak. To znaczy nie! Byłam zajęta, lecz już skończyłam.

– Dzwoniłem w dzień...

– Siedziałam na wykładach, potem w kawiarni... Bywam w zakładzie dopiero po zamknięciu... Ale – dodała – pan Janowski nic nie wspominał...

– Nie mogłem się dodzwonić.

– To woda na młyn pana Bronka, zawsze mówi, że mechaniczne centrale są marnym wynalazkiem.

– Parę lat minęło od ich wprowadzenia – stwierdziłem, myśląc: Dziadek Janowski musi mieć dziewięćdziesiątkę na karku. Ciekawe, jak znosi centrale elektroniczne...

– A mimo to pan Bronka się nie przyzwyczył – rzekła z leciutkim uśmiechem.

Opanowany nieco wisielczym humorem, opowiadałem dowcipy i dykteryjki, przesadnie akcentując praski akcent.

– Aaa... „weź lagę i chodź na Pragę” – uśmieła się panna. – Dlatego tak pan dziwnie mówi...

Miałem na końcu języka, że raczej ona gada dziwacznie, śpiewnie, jakby zza Buga była, a do tego językiem jakimś takim przykurzonym, eleganckim. Ani chybi panienska z dobrego domu, doszedłem do wniosku. Może za granicą rodzona?

– A co pan tak naprawdę teraz robi? – strzeliła pytaniem, ja zaś zamyślony odparłem:

– Niewiele. Nic w zasadzie... – A po ulotnej chwili wyrwało mi się z jękiem: – Niszczę pamiętki, dziewczyna mnie właśnie rzuciła...

Słowo daję, nie mam w zwyczaju wyplakiwać się znajomym, a już tym bardziej nieznanym w rękaw. Jednak bywa przecież tak, że człowiek poczuje do kogoś obcego niczym nieuzasadnione zaufanie. Bywa. Prawda? No właśnie. Zaraz też zawstydzilem się okropnie, zwłaszcza że rozmówczyni wciągnęła głęboko powietrze i zamilkła. Cisza zapadła tak wielka, jakby po drugiej stronie nikogo nie było.

Wreszcie po chwili, trwającej bardzo, bardzo długo, panna rzekła cicho cienkim, dziecięcym głosem:

– Cały wieczór pisałam wiersz. Skończyłam. Chciałby pan posłuchać?

Zdurniałem. Zdebiałem. Wymięklełem.

Wtedy myślałem, że „pomyłka” chce po prostu zmienić temat, zażenowana wyznaniem obcego gościa. Teraz wiem – zapragnęła odwzajemnić zaufanie, bo wyczuła, jak bardzo wbrew sobie uczyniłem tę spowiedź.

Zaskoczony wyraziłem zgodę, choć – wicie, rozumiecie – z poezji znałem: „wstąpiłem na działo, dwieście harmat grzmiało” i „zwierz alpuhary broni się jeszcze Almanzor z garstką rycerzy”. A właśnie, wie ktoś, o co chodziło z tym „zwierzem”? Nieważne zresztą. No, w skrócie mówiąc, cała poezja świata wisiała mi luźnym kalafiozem. I przywykłem, że to ja zarywam panieny na produkowane na poczekaniu wierszyki. Niemniej skoro dama sobie życzyła...

– Jeszcze muszę nad nim popracować... – Zaszeleścił papier, potem dziewczyna zaczęła recytować, nie siląc się na aktorskie zagrywki:

*Gdy błądziłam, szukając szczęścia,
powtarzałeś, zaprawdę marność.
Nikt nie zajmie twojego miejsca.
Nie wyklinaj mnie, odrzuć zazdrość.*

*Gonił wiatr za samotnym cieniem,
ja niedbale rzuciłam, bywaj.
I umknęło gdzieś słów znaczenie.
Odrzuć zazdrość, mnie nie wyklinaj.*

*Czy zostało coś, któż to wspomnie...
A i to czyż ma jakąś wartość?
Tylko echem wracało do mnie:
nie wyklinaj i odrzuć zazdrość.*

*Mgłą leciutką szron zasnuł przeszłość,
Choć mówiłeś: nie zapominaj.
Słowa blakną, odchodzą w ciemność.
Odrzuć zazdrość i nie wyklinaj.*

*Wiosna przyszła wraz z wierzby płaczem.
Miałeś rację, to jednak marność.
Proszę, wybacz mi, ja wybaczę.
Nie wyklinaj i odrzuć zazdrość.**

Umilkła. A ja... ja czułem się tak jak wtedy, gdy średni Duda trafił mnie pięchą prosto w dołek. Kompletny bezdech, oszołomienie. Nic nie mogłem wykrztusić. To jakby o mnie było i o Maryjce, ale takie sięgające sedna sprawy, pozbawione żalosnej i płaskiej codzienności... Uwznioślone i prawdziwe zarazem. No, nie umiem o tym gadać. I nawet nie chcę.

Panna widać błędnie odczytała milczenie, bo rzekła spieszenie:

– Będę jeszcze pracować nad nim, chyba rymy szwankują...

– Nie! Boże broń, proszę nic nie zmieniać! – wykrzyknąłem, zaskakując tym nas oboje. – To cudowne...

– Nnaprawdę?

* wiersze autorstwa Mariny Makarewskiej

– Tak – rzekłem zdecydowanie. – Czy... moglibyśmy się spotkać?
– Hm?
– Chciałbym podziękować...
– Ale za co?
– Pomogła mi pani. Bardzo. Sianowna paniusiu – wróciłem do żartobliwego tonu, musiałem. W końcu gdybym się, kuźwa, rozbeczał w słuchawkę, głupio by było. – Spotkajmy się, królowo.
– Dobrze. Wykłady kończę o drugiej... Mam „wziąć łagę i jechać na Pragę”?
– Ach nie. Przed bramą uniwersytetu będzie dobrze.
– Nie wiem. Nie wiem, czy to rozsądne...
– A niby dlaczego? Zaraz! Przecież ja nawet nie wiem, jak pani ma na imię?
– I wzajemnie.
– O skur... przepraszam. Jan Jastrzębski kłania się uniżenie.
– Tania.
– Ania? – nie dosłyszałem.
– Tania – powtórzyła – Tatiana. Ale nazywają mnie Tania.
– Jak cię poznam, Taniu?
– Jestem wysoka, ciemnowłosa. – Roześmiała się. – Mówią, że ładna... A jak ja pana rozpoznam? Zerknąłem w lustro. Nie było co bajać.
– Szatyn, średniego wzrostu. O takich mówią: „Mały, ale byk”. Urody, rzekłbym, amatorskiej. Jej śmiech ponownie rozświetlił mroczny przedpokój.
– A więc „sianowanie”, panie Janku. Do jutra.
– „Panie Janku”?
– Ja nie przechodzę tak łatwo na „ty” – rzekła tonem serio, w który nie uwierzyłem.
– Więc żegnaj, jestem urażony do głębi...
– Do jutra, bo jakoś panu nie wierzę...
Słuchawka rozbrzmiała sygnałem. Fłaszka gorzały przestała kusić. Pokonałem starego diabła. Przynajmniej tym razem.

Różne głupie pomysły przychodziły mi do głowy, najpierw chciałem założyć gajerek, potem za dużą marynarę i kraciatą czapkę. Wreszcie odpuściłem sobie. Wdziałem sprane dżiny, czystą koszulę i – po zlustrowaniu nieba – skórzaną kurtkę. Identyczne ześmy sobie sprawili z Desantem na Różycu.

„Dwadzieścia pięć” zawiozło mnie do miasta, po namyśle nabyłem różę na metrowej chyba łodydze. Płatki miała ciemnoczerwone, prawie czarne, mięsiste i lekko mechate. Naprawdę odjazdowe.

Przed bramę uniwerku dotarłem tuż przed drugą. Niezłe laski kręciły tam zadkami. Paniency popatrywały ciekawie, ale mijałem je obojętnie. Szukałem „ciemnowłosej i ładnej”. Tani. Jakoś tak po pół godzinie przestało mi się to podobać, po czterdziestu minutach poszedłem do automatu telefonicznego. Zeżarł dwa żetony, po czym wybełkotał: „Nie ma takiego numeru”.

Ze złością trzasnąłem słuchawką. Zachmurzyło się, powiał zimny wiatr. I lunął deszcz. Trwałem pod bramą jak kompletny idiota jeszcze z pół godziny. Wreszcie miałem dość lodowatego prysznicu. Kwiat zamiarowałem wypieprzyć do śmietnika, kiedy zobaczyłem grupkę lasencji stojących pod parasolami na przystanku. Śmiały się najwyraźniej ze mnie, pokazując palcami.

Bardzo powoli, acz zdecydowanie podszedłem do nich. Śmiechy umilkły. Zmierzyłem sikorki wzrokiem. Wybrałem taką szarą myszkę w okularach i podałem jej różę. Nie wzięła, więc ująłem delikatnie małą dłoń, nie bacząc na kolce, zamknąłem zimne palce na łodydze. Myszka, patrząc na kwiat jak zaczarowana, nawet nie syknęła.

Zrobiłem w tył zwrot. Napawając się trwającą za plecami ciszą, poszedłem do tramwaju. Wnerwiony byłem maksymalnie, jednak nurtował mnie niepokój. Bo może coś się stało? Tania nie wyglądała na durną chichotkę robiącą z kogoś frajera dla uciechy.

Może by tak na Chłodną podskoczyć? Po namyśle zrezygnowałem. Gadka szmatka ze stuletnim dziadygą nie miałyby sensu, a dziewczyny i tak tam nie zastaną.

Deszcz ustał. Z tramwaju wysiadłem przy bazarze. A że akurat pora była coś wrzucić na ruszt, kazałem sobie dać pyzy. Do chałupy dotarłem już w nieco lepszym humorze. Scenka, jaką zobaczyłem na Brzeskiej, rozbawiłaby każdego. Niejaki Kulawy Bolo, kadłubek jeżdżący na desce z kółeczkami, postanowił przebyć jezdnię. Myknął z chodnika wprost pod elegancką gablotę. Pisk opon, zgrzyt

hamulców. Bolo leży, kółka kręcą się w powietrzu. Na Brzeskiej wrzask: „Zabił kalekę!”. Z bram wybiegła czereda kolesiów. Dopadli auta i zaczęli bujać z wyraźnym zamiarem przewrótowania samochodu. Ciekawość brała, czy im się uda. Ale kierowca nie stracił zimnej krwi. Uchylił szybę i wysunął przez szparę banknot. Kolesie ocenili nominał. Był odpowiedni. Krzyki umilkły. Bolo ze zręcznością pająka pozbiierał się, ktoś go wtoczył do bramy... Koniec przedstawienia. Poszedłem, chichocząc, zlekceważyłem zachęcające gesty kumpli zapraszających na wódek. Kulawy Bolo kiedyś po pijaku próbował tego numeru z tramwajem. Właśnie od tamtej pory śmigał na safianie.

Na schodach oficyny spotkałem starą Kornacką, podwórkową wariatkę. Wbrew zwyczajom, zamiast zalać mnie potokiem beładnej gadaniny, popatrzyła z nieudawanym współczuciem i posłała karmić koty. Głupie sąsiadki gadały, że ma „złe oko”. Wzruszyłem ramionami. I pogałem do chawiry. Robota czekała.

Zresztą robota...

O zmierzchu zadzwoniłem. I z ulgą usłyszałem znajomy głos.

– Panno słodka! – wykrzyknąłem na powitanie. – Nic ci się nie stało?

– Nic – odparła lakonicznie i chłodno. – Chociaż mogło, stałam, znosiłam zaczepki... To nie było miłe.

– Zaraz! Czekaaś pod uniwersytetem?

– Tak. A z moją urodą... stać pod bramą... – w głosie brzmiała nietajona uraza.

No tak, dziewczyna ładna, a tam multum frajerów, ale bez przesady, krzywdy jej nikt nie zrobił... Myśl uciekła.

– Moment, czekałem na ciebie dobrze ponad godzinę – skłamałem, bo przecież stałem prawie dwie.

– Przyszłam punktualnie...

– Niemożliwe, czekałem pod bramą, zmokłem jak suczeniec.

– Nie rozumiem tych żartów. Upał jak w lecie... Skończmy rozmowę. Jestem zajęta.

Nic nie pojmowałem poza tym, że jest szczerze obrażona.

– Czy nie mógłbym przyjść... teraz?

– Nie. To niemożliwe. Mam spotkanie – w głosie zabrzmiało ożywienie – z Tuwimem i Wierzyńskim...

A poza tym uczę się do egzaminów i przygotowuję tomik wierszy... Nie będę miała czasu.

– Ale...

– Dobranoc – ucieła.

– Zaraz, poczekaj... – rzekłem nie dość spieszenie, już brzęczał sygnał.

Ze złością upuściłem słuchawkę na widełki. Usiadłem w kuchni przy stole. Skołataną łepetynę podparłem rękoma. Nic nie rozumiałem. Tania na pewno nie kłamała. Ja stałem w deszczu, ona piekła się w upale. Może godziny pomyliłem? No nie, na trzeźwo nie ma takiej opcji. A o co chodziło z tym Tuwimem? Jako prosty technik budowlany nie miałem wielkiego pojęcia o poetach, ale sądziłem, że facet nie żyje. Pewnie to takie zakręcone gadanie, może będzie zdawać egzamin ze znajomości twórczości gostka i tego drugiego... Jak nic jest na polonistyce.

Wnioski te nieco mnie uspokoiły. Zwłaszcza że rano pogoda była dużo lepsza. Mimo wszystko... Upał? Cóż, panna mogła nieco przesadzać. A jednak pomyliłem godziny. Niedobrze z tobą, facet, podrapałem się fraszobliwie w czerep i ruszyłem demolować kibel.

Rankiem, jeszcze nieco obrażony, zdecydowałem, że dzwonić nie będę. Za to postanowiłem trochę powęszyc co nieco w temacie: panna. Znałem imię, wiedziałem, gdzie nocuje. I gdzie się uczy. Takie prywatne śledztwo. Zajęty „pomyłką”, mniej myślałem o Maryjce, apetyt wrócił, zasypiałem łatwiej... Kuracja „remontowo-telefoniczna” doktora Jana dawała niezłe rezultaty. Postanowiłem kontynuować i tak się zapaliłem do tej myśli, że gdy koło południa w drzwiach stanęła Maryjka, poczułem tylko zniecierpliwienie.

– Przyszłam po rzeczy – powiedziała zamiast „dzień dobry”, minę miała zdziwioną: remont powoli wychodził ze stadium chaosu, widać już było pierwsze pozytywne efekty.

– Sory, bejbi – rzuciłem w najlepszym stylu Desanta. – Wszystko spuściłem do klopa. Porządki robiłem. – Zatoczyłem koło ręką.

– Wszystko wyrzuciłeś? Może coś znajduję? – Nawet nie zaczęła mi wymyślać, tak była zaskoczona.

– Może. Muszę lecieć, jak skończysz szukać, trzaśnij drzwiami. – Minałem ją i wyszedłem na schody. Dopiero na podwórku pojąłem, co zrobiłem. Chciałem pobiec na górę, może... rzeczy to takie gadanie, może chciała wrócić? Potrząsnąłem głową. Pożegnalne spojrzenie Maryjki wyrażało niedowierzenie, rozczarowanie i wzbierającą złość. Przyszła pobawić się ze mną jak kot z myszą, podręczyć, sprawdzić, dlaczego nie skomlę u jej stóp, by wróciła.

Przypadek pomógł mi zachować się tak jak trzeba.

Spadaj, mała, pomyślałem i pobiegłem do Desanta. On jeden mógł mi pomóc w „śledztwie”. Jakiś nieprzytomny był, lecz wreszcie załapał, o co chodzi, i kazał sobie spisać wszystko. Tak zrobiłem. Zanotowałem nawet fragment wiersza i zaznaczyłem: poetka, prawdopodobnie publikowała. Proszę o wszelkie informacje: nazwisko, skąd jest, kierunek studiów. Może zdjęcie?

Desant rzucił okiem na kartkę:

– Dobra. Sprzedam to mojej byłej. Pamiętasz Profesorę?

– Jakże! Niezła zaraza!

– No. Ale nieglupia. Ustali ci ten drobiazg. Być może nie za darmo...

– Co tam. Trochę ciałków mam. Najwyżej coś opylę.

– Masz załatwione. A teraz dymaj stąd. Muszę lecieć... Rozumiesz, panienska...

– Zgubią nas te baby – rzuciłem, wypychany w pośpiechu na korytarz.

Co? Dlaczego nie szukałem w Sieci? Koleś, jaki Internet! To rok dziewięćdziesiąty piąty! Tego nawet na uniwersytetach nie mieli. Dziwne? Jednakowoż prawdziwe.

No i tak...

Fłaszka stała nieruszona na szafce w przedpokoju... Kusiła jak diabli, ale, jak powiada Beata, kumpela z podwórka, postanowiłem być „twardy, a nie miętki”.

Jeszcze parę dni i chata będzie jak nowa. Widzisz, mała... – w myślach rozmawiałem z Maryjką. Nie z tą obecną suką, a tamtą, słodką i kochającą, sprzed wielu miesięcy – ...nie piję.

Wrócił ból i kłopoty ze snem. Zmęczenie fizyczne nie wystarczało, by oderwać myśli od blondyneczki, która tak na maksa zamieszalała mi w życiorysie.

Zacisnąłem zęby. Nie tknąłem ani flaszki, ani telefonu. Dla odpoczynku i higieny umysłowej postanowiłem sprawdzić w dyrekcji telefonów, z jakim naprawdę numerem łączyłem się, wydzwanając do fotografa. Daleko nie miałem – na Brzeską. Panienska z okienka nawet uprzejma była, w wykazach stało jak byk, że z mojego numeru nie wykonano w ciągu ostatnich dwóch tygodni ani jednego połączenia...

Nie próbowałem prowadzić sporów z urzędniczką. Burdel w telekomunikacji nawet mnie nieco ucieszył, skoro mogę gadać przez telefon darmo...

A trzeciego dnia po obiedzie zadzwoniła Profesora:

– Jastrząb? Mam te dane. Możesz odebrać nawet dzisiaj.

– Drogo?

– Dogadamy się. Ciekawe... Od kiedy się interesujesz takimi sprawami?

Wzruszyłem ramionami, jakby mogła to widzieć:

– Dziewczynami? Od zawsze.

Zachichotała niepewnie i bez przekonania.

– Czekam. – Odłożyła słuchawkę.

Saska Kępa to nie Praga, ale też i nie lewy brzeg, zamieszkały przez wiochmenów i lewusów. Nie pomyślałem nawet o zmianie ciuchów. Niezawodnym „dwadzieścia pięć” dojechałem do Waszyngtona. Park Skaryszewski stał w zieleni, w rosarium kwitły stare magnolie...

Kuźwa, kiedy ostatni raz zwracałem uwagę na takie dupersznytę? Ano tak, tuż po tym, jak poznałem Maryjkę... Wymiotłem myśli z mózgu. Przeszedłem Saską, przebyłem wiadukt nad Trasą. I już byłem u celu. Teraz tylko dwanaście piętér windą.

Dzwonek nie działał. Zapukałem energicznie i po dłuższej chwili drzwi się uchyliły. Przez szparę zabezpieczoną łańcuchem spojrzeło szaroniebieskie oko.

– Jastrzębski od Desanta – rzuciłem, znając zwyczaje Profesory, jej obsesje na punkcie bezpieczeństwa.

– Właż – sapnęła i z brzękiem zdjęła łańcuch. Przyjęła mnie w kuchni i na stojąco. Cała Profesora, zołza wstrętna. Na małym stoliku wypatrzyłem wypchaną szarą kopertę.

– Sporo tego – mruknąłem zdziwiony, ważąc kopertę na dłoni. – Bogaty życiorys ma ta moja dziewczyna...

– Twoja dziewczyna? – Była kobieta Desanta wydała odgłos, jakby się zakrzusiła. Oczy za szklami miała okrągłe i lekko wytrzeszczone.

– No, przesadziłem – rzekłem. – Znam ją trochę, fajna laska...

– Ach, znasz ją... – przeciągnęła. – Laska, mówisz... Wiesz co, Jastrząb? A idź ty sobie już, mam robotę.

Miała jak zawsze, zaraza. Wyciągnąłem z kieszeni zwitek banknotów i upuściłem na stół. Bez słowa, z paskudną miną znaczącą: „Twój geld, najmito”.

Nie przejęła się. Zaczęła liczyć forszę.

– Sianowanie, paniusiu – rzuciłem, wiedząc, że tego nie znosi, i raz-dwa zabrałem zwłoki na ulicę. Co, u licha, widział Desant w tej biuściastej, okrągłej wredocie?

Koperta paliła dłoń. A jednak postanowiłem obejrzeć zawartość w spokojnym miejscu. Po drodze na Francuskiej wparowałem do lokaliku – „Sax” to się nazywa. Wieczorami bywało w nim gwarno, panieny zawodowo wesołe wyruszały stąd na łowy. Teraz królowała cisza i pustka. W ciasnym, ciemnym wnętrzu, przy samym wejściu, siedziała samotna kobitka. Starsza, o zniszczonej twarzy. Chyba nie tylko alkoholem, ale i chorobą. Na chwilę podniosła na mnie zdumiewająco niebieskie oczy, po czym opuściła spojrzenie na rozłożone na stoliku karteluski. Zerknąłem na nie, pokreślone, nierówne linijki, jak nic – wiersze.

Same poetessy, parsknąłem w duchu. Zamówiłem piwo i kawę, posadziłem tyłek blisko baru. Gruba barmanka nałała Żywca, włączyła czajnik. A potem niespodziewanie postawiła przede mną talerzyk z czymś, co przypominało mocno wysuszony pasztecik.

Spojrzałem zdumiony.

– Pan wybaczy, dzielnicowy się czepia, że bez zakąski; prawa nie ma, ale krwi napsuć może. Oczywiście nic pan nie płaci.

Kiwnąłem głową, psom czasami odwała. Łyknąłem piwa i wreszcie dobrałem się do koperty. Szarpnięta niecierpliwie pękła, sypiąc zawartością po stoliku, jedno zdjęcie poszybowało aż pod nogi starszej damy. Nim zdążyłem podnieść, siwowłosa zebrała je z podłogi. Obejrzała fotografię i oddała z uśmiechem.

– Tania – powiedziała ciepłym głosem i wróciła do notatek. Zamurowało mnie. Co jest grane? Chciałem zapytać nieznajomej, skąd zna pannę, ale spojrzałem na zdjęcie i wszystko przestało się liczyć.

Fotografię wystylizowano na starość. Zdjęcie w kolorze sepii przedstawiało grupę ludzi w letnich strojach. Na pierwszym planie uśmiechała się do obiektywu... do mnie, szczupła, wysoka dziewczyna. Ciemne włosy, owalna twarz. Ogromne, sarnie oczy, wilgotne, lśniące... Orli nos. Smągła skóra. Długa szyja, fascynujące piersi unoszące cienką bluzeczkę, smukła talia i nogi modelki...

Zapomniałem oddychać. Ludzie nazywają to „piorunem”. Nie wiem, nie mogę powiedzieć, żebym się zakochał. Tyle tylko, że dziewczyna ze zdjęcia stała się najważniejsza na całym świecie. A Maryjka? Nie, moje uczucie nie zniknęło... Tylko miałem wrażenie, że dotyczy kogoś innego. Chociaż zaraz, chrzanię. Mnie, ale sprzed wielu lat. Spadła zasłona czasu łagodząca ból i pozostawiająca tylko przyjemne, w sumie obojętne wspomnienia.

Z trudem wróciłem do rzeczywistości. Usiadłem przy stoliku, odstawiłem na sąsiedni talerzyk ze zwiędłym pasztecikiem. Sięgnąłem po leżący na wierzchu papier: zyciorys.

Tatiana Polina Axelberg, urodzona w Równem w roku 1917...

Czeski błąd, pomyślałem. 1971, to by się zgadzało, pewnie jest na ostatnim roku... Równe? Co to za miasto? Zaraz, to chyba u Ruskich... Stąd ten śpiewny akcent. Czytałem dalej.

Mieszkała u babki... Ojciec porzucił rodzinę... Matka w Portugalii. Tatiana przyjechała do Warszawy w 1934... Co oni z tymi datami?... na zaproszenie T UWIMA... Najmłodsza ze SKAMANDRA... Pierwszy tomik wierszy 1936. Wojna... Równe, Lwów, Kraków. Złapana po donosie...

ZAMORDOWANA w 1944...

Nie jestem dziewczicą, nawet w przenośni. Skopany po pijaku przez starszego i średniego Dudę, nie miałem choćby w przybliżeniu takich objawów. Pociemniało w oczach, zaszumiało w uszach. Zrobiło mi się mdło. Czułem, że lecę... Gdzieś z ogromnej odległości dochodziły głosy:

– Lalka! Klient ci schodzi!

– Pani Agnieszko... Chyba zeżarł pasztecik, bo go nie widzę...

– Jezusie! Przecież to ma z miesiąc. Lalka, dawaj wódkę, ratujmy człowieka.

O zęby zadzwoniła mi szklanka.

– Pij pan!

Łyknąłem siwuchy. Zapiekło, wywróciło wnętrzności.

– Pij pan!!!

Przyjąłem drugą dawkę, przed trzecią uchronił mnie głos starej damy:

– Daj spokój, Lalka! O, zobacz, pasztecik jest tutaj...

– O Matko Bosko, ale mnie ten cholernik nastraszył!

Jak się wydostałem z „Saxa”, nie pamiętam. Następny kadr z porwanego filmu to widok Chłodnej. Biegałem, szukając numeru 46. Nie znalazłem, wokół stały same nowe domy...

Półprzytomny wracałem do domu. Na znaną od dziecka ulicę patrzyłem, jakbym szedł nią po raz pierwszy. Kamienice obite z tynków, o ścianach poznaczonych śladami kul. Brukowana jezdnia z

rdzewiejącymi szynami tramwajowymi. Chodniki wyłożone spękanyymi płytami, pełne dziur i nierówności.

Taka była Ząbkowska, taka była Praga. Jedyna część Warszawy, która przetrwała śmierć w lecie czterdziestego czwartego.

I ludzie... Grupki kolesiów stojących po bramach, patrzących, skąd by tu skołować szmal na wódkę. Gotowi dla zabawy i rozrywki sprawić łomot obcemu, frajerowi, który z musu lub przypadkiem trafił na Szmulki. Ich ojcowie tak stali, a pewnie i dziadkowie...

Ze świata Tani ocalało tylko tyle, po drugiej stronie Wisły pozostał cmentarz i martwe dekoracje udające miasto, pełne ludzi udających warszawiaków.

Komentarze wysłuchane po drodze brzmiały życzliwie. Oto, chwiejąc się na nogach, z okiem błędnym, wracałem na łono dzielnicowych pijaczków. Ludzie odczuli ulgę, ot, odbiło kolesiowi, ale tylko na chwilę. Pić chciał przestać, ha, ha. Też coś...

W chałupie wsadziłem łeb pod zimną wodę, potem zaparzyłem „szatana”. Stół w kuchni pokryły kartki maszynopisu, zdjęcia, kserokopie książek.

Dużo, dużo pracy włożyła Profesora w zgromadzenie tego wszystkiego. Kasa należała jej się jak psu zupa.

Zdjęcia odłożyłem, nie mogłem patrzeć w oczy Tani. A propos oczy... Pierwsza kartka zawierała odręczną notatkę:

We wspomnieniach ludzi, którzy ją znali, przewija się zdumiewający szczegół wybitnej urody poetki: otóż jedno oko miała zielone, drugie pomarańczowe...

Próbowałem to sobie wyobrazić, zapewne nie sposób było zapomnieć takiego spojrzenia. Potrząsnąłem głową, czytałem dalej.

Urodziła się w rodzinie litwaków, czyli zasymilowanych rosyjskich Żydów. Ojciec wcześniej porzucił rodzinę i wyemigrował. Matka pozostawiła Tanię w Równem pod opieką dziadków. Sama zaś wyjechała do Portugalii, gdzie wyszła ponownie za mąż. Tania od wczesnej młodości przejawiała talent poetycki...

Zapadł zmierzch, pstryknąłem światło. Duchota wisiała w powietrzu, otworzyłem okno. Z podwórka dobiegał chóralny pijacki śpiew.

Przebiegałem wzrokiem linijki tekstu, wylaniał się z niego obraz nad wiek dojrzałej, wrażliwej dziewczyny. Zamkniętej, wyrażającej emocje i uczucia w poezji. Ale jednocześnie świadomej własnej urody i bardzo zmysłowej...

Dalej było gorzej. Przełknąłem jakoś aluzje do licznych adoratorów. Dowcipy panów literatów napełniły mnie niesmakiem. Wyrokowcy na Pradze mieli większy szacunek dla swoich kobiet. Też mi elita, dumałem, czytając, jak w „Małej Ziemiańskiej” przybliżano zapaloną zapałkę do ust Tani, by sprawdzić, czy nie ma „przeciągu”. A już szczyt chamstwa osiągnięto, gdy jeden z tych pieprzonych skamandrytów chciał założyć dziewczynie śmietnik na głowę.

Zacisnąłem pięści, aż chrupnęło.

Dalej było jeszcze gorzej.

Ze zdumieniem dowiedziałem się, że prawicowe bojówki ONR – cokolwiek to znaczy – o mało nie uniemożliwiły jej studiów. Dlatego nie chciała spotkania przy uniwerku, wspomniałem, i czekała bezskutecznie...

Wyjechała w połowie czerwca na wakacje do babki. Wojna, Tania trafia do Lwowa pod okupacją sowiecką. A potem już tylko ciągła ucieczka. Zaszczuta, sponiewierana, zostaje ostatecznie zadenuncjowana przez gospodynię domu, w którym znalazła ostatnie schronienie.

Szklanka z wystygłą kawą pękła mi w dłoni. Byle jak owinąłem krwawiącą rękę chustką i czytałem, nie mogąc oderwać wzroku od opisów katowania Tani w krakowskich kazamatach gestapo.

Ostatni wiersz przemyciła w grypsie – to on zbudował jej sławę, spychając w cień poprzednie dokonania. Do końca zachowała hart ducha, licząc na wysyłkę do obozu koncentracyjnego. Zamordowano ją w lecie czterdziestego czwartego roku.

Siedziałem otepiały, zszokowany. Oczy miałem suche. A potem, wstyd przyznać, to chyba była histeria... Przez dobre pół godziny kłamię w szalonej pasji, „pierdolone niemieckie skurwysyny” były jednym z delikatniejszych określeń. Chodziłem po kuchni, zachlapałem krwią podłogę i papiery na stole. Sprawiało mi dziwną ulgę, że porżnięta dłoń pieruńsko boli, i umilkłem, uświadomiwszy sobie, że od dobrej chwili powtarzam w kółko: „Ja wam dam jebane pojednanie, kurwa, kurwa, ja wam dam...”.

Usiadłem. Zamknąłem oczy. Z najwyższym wysiłkiem spróbowałem myśleć. Widziałem tylko dwie opcje. Albo zwariowałem i tak naprawdę leżę w wariatkowie przywiązany do łóżka, a wszystko jest majakiem, albo... Albo co właściwie? Rozmawiam z duchem? Wspomniałem srebrzysty głos Tani i omal

nie wybuchnąłem histerycznym śmiechem. Też mi duch! I wiersz? Przecież wyrecytowała wiersz, który znalazłem w kserokopii jakiejś powojennej antologii. Skąd bym go znał? Nadzieja na wariackie zwidy przepadła. Postanowiłem działać tak, jakby kontakt z Tanią był rzeczywisty. Tak mi dyktował rozsądek. Ocalę ją, przekonam, że powinna wyjechać, pomyślałem, popadając z rozpaczy w euforię.

Spokojnie już powyciągałem szkło z dłoni. Zużyłem cały zapas bandaży i przylepca, zanim opatrunek przestał przeciekać. Usiadłem przy telefonie, odetchnąłem głęboko i niezręcznie, lewą ręką wykręciłem numer fotografa.

– Allo?

Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. I nagle spłynął na mnie wielki, nieudawany spokój. I kamienna pewność tego, co należy zrobić.

– Witaj, Taniu.

– Och, to pan. Cieszę się ogromnie... Brakowało mi naszych wieczornych rozmów.

– I znajdziesz dla mnie czas?

– Tak, choć naprawdę jestem zajęta.

– Więc dlaczego?

– Pan jest zagadką... Bo tak naprawdę to nie mówi pan jak cwaniak z Pragi, a w pana słowach jest coś, co budzi niepokój... i ciekawość.

– Ja zagadką? Cóż... Ale naprawdę mieszkam na Ząbkowskiej naprzeciw Monopolu. Nieważne. Powiedz, skąd ten dobry humor?

– Och, czekam na wiele miłych rzeczy. Mój drogi zbiorek ma się ukazać, może już w październiku. Tuwim bardzo chwalił... Nawet Gombrowicz. A poza tym blisko koniec sesji letniej, zdam egzaminy i tyle mnie będzie Warszawa widzieć. Jadę do babki. I... pan zadzwonił, czyż to nie dosyć?

Ścisnąłem słuchawkę z taką siłą, aż mi dłoń zbieła.

– Taniu... Nie jedź do Równego, koniecznie wybierz się do matki. I nie wracaj przed październikiem – powiedziałem z naciskiem.

W słuchawce zapadła cisza.

– Matka... Skąd pan wie? To już nieaktualne. Babka czeka.

– Ja dużo wiem. Widziałem cię, jesteś piękna... Takich oczu się nie zapomina... Tym gorzej. Wiem, że masz narzeczonego, a może nawet dwóch? I wiem z ciekawostek, że chciano ci podczas jednej z „literackich” biesiad założyć kosz na głowę...

– Obrzydliwa plotka! – przerwała ostro. – Wymyśl paru pijaków. Ale i tak... Skąd te wiadomości? Przecież ledwieśmy parę razy rozmawiali. I tylko przez telefon. To jakieś śledztwo?

– Śledztwo? Nie. Jednak wiem o tobie bardzo dużo. Bo... ja znam przyszłość. Bo sam jestem z przyszłości.

Wreszcie to powiedziałem, oczekiwałem okrzyków typu: zwiariowałeś! głupie dowcipy! Lecz Tania nie była osobą pospolitą ani banalną. Przez chwilę milczała, a potem westchnęła głęboko i rzekła rzeczowo:

– Interesujące. I cóż mi pan wyróżysz? – w głosie dziewczyny brzmiała niekłamana ciekawość.

Mało nie rzuciłem bluzgiem. Tania uznała moje stwierdzenie za wstęp do jakiejś intelektualnej zabawy. Może przywykła do podobnych w towarzystwie, w jakim się obracała, ja – prosty technik budowlany żyjący z partanin i lewych interesów – nie potrafiłem prowadzić gierki. Waliłem prosto z mostu, chcąc przełamać niewiarę.

– Ja nie wróżę, ja wiem. Jedź do Portugalii, nie wracaj do babki – prawie błagałem.

Nie uzyskałem nic.

– Hm... Dlaczego? – wciąż to samo rzeczowe zainteresowanie. – Będę miała wypadek? Coś się stanie?

– Cała Rzeczpospolita będzie miała wypadek, wojna...

– Ach, wojna! – przerwała rozczarowana. – Wszyscy nią straszą. Tak jakby Hitler mógł się odważyć...

Opadły mi pletwy, ale jednocześnie przebiegła przez głowę pewna myśl.

– Taniu, jest późno... Zadzwoń jutro... Dobrze?

– Dobrze. Choć trochę szkoda, myślałam, że opowie pan mnóstwo ciekawych rzeczy...

– Opowiem. Jutro – obiecałem i odłożyłem słuchawkę.

– No przecież jasne, durniu – powiedziałem na głos w pustym mieszkaniu. Trzeba ją przekonać, muszę przekazać wiadomość o zdarzeniu, które dla niej będzie przyszłością. Wydało mi się to łatwe. Niestety, rankiem stwierdziłem, że w głowie poza datą pierwszego września nic mi nie pozostało. Z rozpaczą patrzyłem na zwalone w stosy książki. Miałem grobową pewność – nie znajdę w nich niczego, same kryminały i fantastyka. No co? Historia zawsze mnie nudziła. Aaa, że książki? Może i żul jestem, ale nie analfabeta, sianowni zgromadzeni.

Pobiegłem do Desanta. I odbiłem się od drzwi, wróciłem, wygrzebałem encyklopedię i nic w niej nie znalazłem. Przez pół dnia wertowałem kolejne tomy i kursowałem między chatą Krystiana i swoją jak jakiś zepsuty bumerang.

Wreszcie odszukałem telefon do Profesory, postanowiłem zagaić bez pośrednika, bo Desant ewidentnie gdzieś przepadł. Bywały już takie przypadki. Co prawda żoźza mogła mnie obsobaczyć, co tam, pilnie potrzebowałem jakiegoś punktu zaczepienia. I tu kolejne rozczarowanie. Nikt nie podnosił słuchawki. No, kuźwa, co mam robić? – myślałem wściekły. Wreszcie doznałem olśnienia. Biblioteka Naukowa przy placu Hallera! Kiedyś tam chodziłem, w technikum jeszcze.

Gdy już przebyłem procedurę rejestracji, stanąłem bezradny naprzeciw tysiący tomów zgromadzonych w bibliotece. Szczęściem starsza kobitka, która wpisywała dane w formularz, od razu wyczuła nowicjusza. Zapytany, czego szukam, wydukałem, iż trzeba mi jakiegoś ważnego wydarzenia mającego miejsce w maju 1939 roku.

Bibliotekarka zniknęła pomiędzy regałami i wnet wróciła z niepozorną książeczką: „Polska w latach 1918-1939”. Uczynna kobitka poratowała mnie jeszcze długopisem i kartką, a na koniec rzekła:

– Niech pan zwróci uwagę na przemówienie Becka z dnia 5 maja 1939 roku.

Po dziesięciu minutach kłusowałem już do domu. Szczęśliwy, miałem, czego chciałem. I wiecie, jakoś nabrałem szacunku dla ludzi, których obdarzałem dotąd „serdecznym poważaniem”. Ta kobitka z biblioteki to niezła gościwoła, a łeb ma jak sklep!

Siedziałem w chałupie, czekałem na zmierzch. Zachodzące słońce odbijało się w szybach, stada jaskółek, przenikliwie piszcząc, zataczały kręgi wokół podwórka, przelatując na wysokości mego okna. Nadchodziło lato, pięćdziesiąt sześć lat temu na Chłodnej Tania zapewne także słuchała jaskółek i cieszyła się na bliskie już wakacje. Jej ostatnie wakacje.

Ja to zmienię, pomyślałem z satysfakcją. Zadzwoiłem. Odebrała, a ja rzeczowo zapytałem:

– Masz tam coś do pisania?

– I owszem! Poetka bez pióra? – parsknęła nieco jędzowato.

– Notuj, proszę: *Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną. Tą rzeczą jest honor. Masz?*

– Tak, co...

– Jutro będzie przemawiał w sejmie minister Beck. Porównaj to z moimi „przepowiedniami”, a potem porozmawiamy. A teraz opowiedz o babci – poprosiłem, by odsunąć pytania. Temat był obojętny. Chciałem tylko słuchać głosu Tani... Jedno mnie w opowieści poruszyło, hm... wzruszyło nawet. Będąc kilkuletnią dziewczyneczką, występowała jako żywa reklama na święta w witrynie sklepu babki. Przystrojona, śliczna, po prostu mały aniołek.

Minęła północ, Tania niechętnie się pożegnała, a ja próbowałem usnąć. Ciągle gdzieś całkiem płytko krążyła myśl, że to wszystko bajka, wymysł – może nawet sen lub majak chorego umysłu. Niezależnie od opcji Tani nie zabije żaden skurwysyński szkop. O nie.

Desant dalej gdzieś bujał. Spędziłem więc dzień na malowaniu ścian w pokojach. Jeszcze tylko kuchnia i chałupka będzie odpicowana aż miło. Próbowałem oglądać telewizję, ale brazylijskie telenowele, okraszone reklamami podpasek, papieru kiblowego, środków na łatwe sranie, szybko mnie zniechęciły. Czekałem. Ledwie jaskółki ruszyły na wieczorne łowy, już stałem przy telefonie.

Tania była jakaś poważna, w głosie brakowało zwykłego półuśmiechu.

– Rzeczywiście. Minister przemawiał. I słowa się zgadzają. Nikt zwyczajny nie mógł ich znać wcześniej...

Poczułem gigantyczną ulgę.

– Więć mi wierzysz?

– Wierzę, że jest pan kimś nadzwyczajnym. Musi pan mieć ogromne koligacje w strefach rządowych, żeby znać tak ważny dokumenta przed ich publikacją...

Złapałem zębami za obandażowaną dłoń. I tylko dlatego solenne kurwy nie poleciały w eter.

– Co pan powiedział?

– Nic. – Ciężko jest mówić z zaciśniętymi zębami, udało mi się jednak ta sztuka.

– I jeszcze jedno. Byłam na Żąbkowskiej. Mówił pan: naprzeciw Monopolu? Sprawdziłam, cieć, niejaki Płaza, stwierdził, że żaden Jan nie mieszka. Co prawda są w oficynie bracia Józef i Aleksander Jastrzębscy, lecz nie pasują do opisu.

Zastygłem. Płazę pamiętałem. Ganiał mnie z miotłą, kiedy jeszcze krótkie majtki nosiłem. Ostatnie wątpliwości związane z Tanią zniknęły.

– I co pan na to? – przerwała ciszę. A że nadal milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć, mówiła dalej: – Naprawdę jestem zaciekawiona. Spotkajmy się, mam dość zagadek.

– Myśl, co chcesz, Taniu, ale ja naprawdę dzwonię z roku 1995.

– Chce pan kontynuować zabawę? – podniosła głos trochę zagniewana. – Dobrze. Do trzech razy sztuka. Proszę mnie przekonać. Lecz jeżeli pan przegra, czyli z pewnością, czy powie pan prawdę?

– Tak. Przekonam cię – stwierdziłem, kończąc rozmowę pełen rozpaczy. Tania nie uwierzyła w ani jedno słowo. Co mogłoby przełamać niewiarę?

Niewiele spałem tej nocy. Wyszło na to, że muszę poradzić się bibliotekarki. Sprzedam jakiś bałach...

Ranek jednak spędziłem, chodząc po kamienicy. Odpytywałem wszystkie staruszki, czy nie pamiętają młodej, pięknej kobiety szukającej Jastrzębskich w lecie trzydziestego dziewiątego. Niestety, minęło prawie sześćdziesiąt lat. Skleroza była bezlitosna. Zrezygnowany, postanowiłem iść do biblioteki, w bramie wpadłem na Kornacką. Odwróciłem wzrok, najgorzej wdać się z nią w gadkę. Będzie głądzić do upadu.

– Janku, rozpytujesz o tę śliczną panią? – powiedziała zupełnie normalnym głosem.

Spojrzałem zdumiony. W pomarszczonej twarzy wyblakłe oczy błyszczały inteligencją. Usta wyginał uśmiech.

– Tak.

Staruszka pokiwała głową.

– Miałam pięć lat. Ta pani dała mi cukierka... Miała takie dziwne oczy. Śmiała się, jak o to pytałam. Szukała Janka Jastrzębskiego... A potem zaprowadziłam śliczną panią do Zimnego, robił wtedy zdjęcia na ulicy.

– Zdjęcia? Zrobił jej zdjęcie?

Kornacka pokiwała głową.

– Pani potem poszła. A ja znalazłam w bramie, o tu, chusteczkę. Musiała wypaść, jak szukała drobnych dla Zimnego. Mam ją do tej pory.

– Mógłbym zobaczyć?

– Dam ci tę szmatkę, jeżeli chcesz. Ale zmarłych trzeba zostawić w spokoju. – Kornacka zatrzęsała głową, oczy znów stały się puste i szkliste. – Biedny ten Zimny, spłonął z całą pracownią w czterdziestym czwartym – mamrotała.

Odszedłem spiesźnie.

Pomykałem rażno Targową, choć nie było mi lekko na duszy. Dochodziłem do skrzyżowania przy Czterech Śpiących, gdy wydało mi się, że ktoś mnie woła. I rzeczywiście, po przeciwnej stronie, z bramy tuż obok poczty, machał ręką zwalisty facet. Nazywali go czegoś Węgier, choć z Madziarami nie miał nic wspólnego. Mieszkał na lewym brzegu Wisły, jego rodzina od trzech pokoleń prowadziła na Targowej zakład naprawy maszyn do szycia. Dziwny gość, choć nie mieszał się do naszych spraw, można było na niego liczyć. Z ulgą odwlekłem wizytę w bibliotece, nie miałem pomysłu, jak zagaić. Przebiegłem slalomem między samochodami i przybiłem piątkę Węgowi.

– Słyszałem, że coś nieklawo u ciebie? – zapytał, gdyśmy już usiedli w warsztacie, niemiłosiernie zagraconej klitce. Nie wiem dlaczego, ale starczyło mi spojrzeć w okrągłą, szczerą twarz, by pęknąć. Nie ukrywam, że nalana do plastikowego kubka seta miała w tym swój udział. To, z czego nie zwierzyłem się dotąd nikomu, wyśpiewałem gostkowi, z którym może trzy razy w życiu wódkę piłem.

– No i tak. A teraz już możesz wzywać karetkę z psychiatrika.

– No cóż, Jastrząb. Zadziwię cię. Wcale nie uważam, że zwariowałeś.

Szczęka mi opadła.

– Uwierzyłeś?

– To nie kwestia wiary. Na Pradze różne rzeczy się dzieją. Dla ciebie ta historia jest prawdziwa. A ja mam sposób, żeby ci pomóc...

Aż wstałem z rozchybotanego stołka, jednak w tym momencie szarpnięte energicznie drzwi kanciapy stanęły otworem. Wparowali dwaj krótko ostrzyżeni młodzieńcy w czystych dresach. Jak nic ludzie z miasta.

– Panie Węgier... – zaczął młodszy, drugi szturchnął go w bok i mówca spiesźnie dorzucił: – Dzień dobry!

– ...bry – wymamrotał gospodarz.

– Panie Węgier, beemka przed oknem to pańska?

– Nie.
– Aha, znaczy, że możemy ją ukraść – stwierdził z zadowoleniem starszy z „języków” i dodał: – Bryzoł, robimy gablotę.

– Do widzenia – rzucili grzecznie zgodnym chórem i wyszli.

Węgier stanął przy okienku i patrzył na zegarek. W chwili gdy zawarczał uruchamiany silnik, stwierdził:

- Osiemnaście sekund. Całkiem sprawne chłopaki.
- Co to ma niby być? – Popatrzyłem zdziwiony.
- Biznes, człowieku. Interes się kręci. Ja z nimi żyję w zgodzie, a oni mnie szanują.
- Jasne, ale też dziwne trochę...
- Taki styl. Wołomin rządzi.
- Mówiłeś, że możesz mi pomóc.
- No tak. Widzisz, mam nieodparte wrażenie, że spotykamy się dzisiaj nieprzypadkowo.

Porządkowałem graty i właśnie miałem wywalić barachło na śmietnik, a tu wpada Lisu i nawija: „Jastrząb zwariował. Przepytuje babcię o jakieś Żydówki sprzed wojny”. No a potem wychodzę odcedzić kartofelki, a ty akurat szpulujesz.

- No i? – popędziłem go.
- Chłopie, żadne polityczne kawałki nie przekonają kobity. Ale zobacz, co znalazłem.

Wstał z paki gazet związanych sznurkiem i powiedział:

– To rocznik Ilustrowanego Kuriera Codziennego z 1939. Dziadek nie wyrzucił, ojciec też nie, dopiero ja chciałem. Wyszukamy jakieś wygrane numerki, totka chyba nie było, ale może loteria. Dziewczyna trafi kasę, a ty wreszcie ją przekonasz.

Uskrzydłony nadzieją, rzuciłem się na zakurzone, pożółkłe gazety; Węgier dzielnie pomagał. Wreszcie wykrzyknął z tryumfem:

– O! Mam triple na wyścigach na Polach Mokotowskich. Powinno wystarczyć. Colt przed Juturną i Laudą. Czternasty maja.

Wyrwałem gazetę z ręki Węgra. I chciałem pędzić do domu.

- Czekaj, przecież będziesz dzwonił wieczorem?
- No tak – wyhamowałem.
- To walniemy na drugą nóżkę. I powiedz mi, czy ktoś oprócz ciebie rozmawiał z panienką?
- Nie.
- A dałeś jej swój telefon?
- Nie. Nie dałem.
- A dlaczego?

Zastanowiłem się, chyba najuczciwszą odpowiedzią byłoby, że nie przyszło mi to do głowy. A może... jednak nie? Może bałem się majdrować przy temacie, by nie ryzykować zerwania kontaktu?

- Nie wiem – powiedziałem.

Węgier pokiwał głową.

– Pomyśl o tym. A, i jeszcze jedno. U niej tam zaraz będzie wojna. A gdyby tak pogadać z Rydzem Śmigłym? Mając naszą wiedzę o poruszeniach szkopów we wrześniu, nawet nasza bidna armia złałaby im tyłek.

Rany! Miał rację facet.

Myśl była kosmiczna. I... Tania nie musiałaby uciekać do matki.

Entuzjazm jednak szybko wygasł. Miałbym przekonać Wodza Naczelnego i rząd? Ja jednej dziewczyny nie potrafiłem...

- Te szkopy – zacząłem bluźnić z niekłamaną nienawiścią.

Węgier słuchał z pewnym zainteresowaniem, bo raczej się nie powtarzałem. Po czym rzekł:

- Ale ta kurwa gospodyni... Co ją wydała... Że też coś takiego w Polsce przyszło na świat. Słowo daję... Zamknął mi twarz.
- Idę, Węgier – powiedziałem. – Jak wyjaśnię...

- Dobra. A wiesz, że Desant kupował kałacha na Różycu?

Zamarłem w drzwiach.

- Żeby czegoś głupiego nie narobił...

Z powrotem wybrałem drogę przejściem podziemnym pod Targową. Mimo południowej godziny pod ziemią było pusto i ciemno. Beton znaczyły kałuże moczu, pod ścianami leżały stopy śmieci, pozostałości po handlarzach.

Pewnie psy zrobiły nalot, pomyślałem. I wtedy z naprzeciwka ruszył ku mnie najstarszy Duda. Oczywiście miał kocie, a usta skrzywione jak zawsze w złośliwym uśmiechu.

Gwałtownie zapragnąłem zmienić powietrze na nieco świeższe. Duda, podchodząc, zanucił:

– Bum tara, idą Żydki na wojnę...

Trach. Coś mi się zwarło pod kopułą. Trwający latami strach przed sitwą Dudów, wściekłość na donosicielkę, która zgubiła Tanię, i obrzydliwa piosenka, wszystko to razem podlane sporą dozą wódki sprawiło, że ogarnęła mnie furia. Dziwna, zimna i wyrachowana. A ja cię, skurwysynu, zabiję, pomyślałem, ze szczękiem otwierając sprężynowca. Pociąłem sobie przy tym kurtkę.

Dudy nie przeraził znajomy dźwięk, jednak gdy stanąłem w plamie światła padającej z jedynej czynnej lampy, nagle z wstrętnej gęby zniknął uśmiezek, kose oczka wypełnił strach i... Duda zrobił w tył zwrot.

– Stój, cwelu! – ryknąłem i z rozmachem uderzyłem nożem. Tyle że Duda akurat przyspieszał do nadświetlnej i ledwo go zawadziłem. Choć zamierzałem wbić kosę po rękojeść w nery.

Co? Czy chciałem zabić człowieka? No nie, laluniu, panienka jest niepoprawna. Przecież mówiłem, że nie człowieka, a Dudę. No tak, przez chwilę chciałem. Ale szybko mi przeszło. Siedząc w pierdłu, nie miałbym szansy na uratowanie Tani.

Wracałem ostrożnie, a nuż Duda ustawił już rodzinę? Jednak nie, przechodząc pod oknami Majewskich z parteru, podśledzałem ciekawą rozmowę:

– Słyszałeś? Jastrząb oszalał, bez dania racji chciał zaciukać starszego Dudę.

– E tam, oszalał. Desant kupił kałacha i zniknął...

– Ho, ho. Co uważasz?

– Chłopaki zamierzają skasować Dudów. Jak nic. Musieli im nieźle namieszać w interesach, skoro idą na całość.

– A, to dlatego Dudowie siedzą w chałupie. I tylko gnoja posyłają po wódkę.

– Fajnie. Dobrze im tak...

Odszedłem po cichu, uśmiechając się wrednie pod nosem. Dudów chwilowo miałem z bani. Tylko co z Desantem?

Zapach wątróbki smażonej z cebulką, jaki napływał z mieszkania Majewskich, przypomniał mi o obiedzie.

Odwiedziłem Wietnamczyka, starając się nie myśleć o składnikach dania, jakie zaserwował uprzejmy zółtek.

W chałupie ostro ruszyłem z robotą, tak dobrze szło, że dopiero mrok za oknami oderwał mnie od tego zajęcia.

Tania odebrała już po pierwszym sygnale, zupełnie jakby czekała z dłonią na słuchawce.

– Wiesz, dzisiaj uczynię cię bogatą kobietą – rzekłem, poprosiłem, by zanotowała porządek gonitwy. – To chyba ładnych parę tysięcy złotych będzie. Tylko pamiętaj obstawić.

– Och, jaki pan łaskawy... Nie omieszkać. – Była w żartobliwym nastroju. – Kupię sobie fiata i pereł sznur...

– Ejże, panna, czyś ty przypadkiem nie piła? – rzuciłem podejrzliwie.

– No nie, czy kieliszek szampana, no, może dwa, to zaraz picie?

I nagle czysto zanuciła:

*Dzieweczka na balu szaleje,
wypiła kieliszków ze sto.
Za oknem już dawno dnieje,
a ona się ciągle śmieje...**

Zdrętwiałem. Moja babcia uwielbiała tę piosenkę. Zawsze puszczała ją ze starej, trzeszczącej płyty. Jako knypel dozorowany przez babkę, musiałem wysłuchać utworu niezliczoną ilość razy.

– Ale myślę, że bardziej przypadnie panu do gustu inna zwrotka:

*Wiem, czego pan pragnie ode mnie.
Podobam się panu, no tak!
Całować się jest tak przyjemnie,
więc pocałować pan chce mnie.*

* Piosenka z repertuaru Miry Zimińskiej. Autor słów: Andrzej Włast

– Gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj – zawtórowałem chropawo i refren odśpiewaliśmy razem, by potem wybuchnąć serdecznym śmiechem.

– A jak tam Zimińska w tym dziewięćdziesiątym piątym? – zapytała nieco kpiąco.

– A i owszem, zdrowa, tyle że teraz prowadzi zespół ludowy – odpowiedziałem takim samym tonem i znowu się roześmieliśmy. Choć każde, jak sędzę, z czego innego.

Potem Tania zażądała, żebym opowiedział o świecie przyszłości: „No skoro dzwoni pan z dziewięćdziesiątego piątego”. Nie chciałem truć o wojnie, nieszczęściach, zagładzie. Opisywałem więc stroje, lokale. Mówiłem o magnoliach w parku i podobnych sprawach, mocno dziękując w duchu Maryjce. Bo to ona nauczyła mnie dostrzegać takie rzeczy. Na koniec, przy pożegnaniu, Tania powiedziała:

– Koniecznie muszę poznać Pragę, skoro tacy ludzie jak pan to zwykłe praskie cwaniaki.

– A czy ja mówiłem, że jestem zwykły?

– Ależ ma pan wyobraźnię. Zupełnie niczym Grabiński czy Bruno Winawer. Fantasta! Jutro proszę o opowieść o tych, jak to pan nazwał, Love Paradach. Takie nieprzyzwoite... i ekscytujące. No i loty na Księżyc, jest pan lepszy od Verne’a.

Zgasłem jak świeca. Dla niej to wszystko były bajki!

– Dobranoc – powiedziała i szeptem tchnęła: – Całuję!

Nie, nie przesłyszałem się. Jedno słowo sprawiło, że nie mogłem zasnąć do rana. Przez ponad tydzień wieczór w wieczór opowiadałem Tani o naszym świecie. Żeby uniknąć blamażu, biegałem do biblioteki, kupowałem gazety i książki, zwiedzałem EMPIK-i. No, w życiu tyle nie przeczytałem w tak krótkim czasie. Zrozumiałem, jak niewiele wiem. Pewnego razu podczas rozmowy opisałem rozbabrane remontem mieszkanie. Sprzęty. W tym telefon.

– Mam taki sam – rzekła ucieszona.

– O?

– A tak. Pan Bronek kupił, klienci zakładu korzystają...

W ustach mi zaschło. Byłem pewien: to ten sam aparat! Jednak nawet podanie numeru seryjnego nie przekonałoby Tani. Ot, pomyślałaby, że byłem w zakładzie i obejrzałem sobie szczyt techniki zakupiony przez właściciela... Ale od tej pory, trzymając słuchawkę, miałem wrażenie, jakbym dotykał ciepłej i miękkiej dłoni dziewczyny...

Kolesie, którzy mnie obserwowali, doszli do wniosku, że specjalnie wystawiam się Dudom. A gdzieś za plecami czyha Desant. Wszyscy czekali na rąbankę. Miałem to gdzieś – nadszedł wreszcie czternasty maja, moment, gdy Tania uzyska ostateczny dowód.

Zadzwoiłem.

– Wie pan... – zaczęła.

Przerwałem niecierpliwie:

– Obstawiałaś gonitwę?

– Nie... ale – dodała szybko – zrobił to znajomy, bliski znajomy...

– I?

– Bawi się w Adrii. Jestem zaproszona... Nie wiem, czy pójdę.

Czekałem.

– Kim pan jest, panie Janku?! – wykrzyknęła. – Nikt nie mógł ustawić wyścigu na półtora tygodnia wcześniej. Czy sfery rządowe manipulują także wynikami wyścigów? A może jest pan autentycznie obdarzony darem prekognicji? Panie Janku...

– Tanieczko... A gdybyś jednak uwierzyła, że dzwoni do ciebie człowiek z przyszłości...

– Dość tej bujdy! To niemożliwe. Tak nie bywa...

Złość odebrała mi głos, a potem i rozsądek. Trzasnąłem słuchawką o widełki. Tylko po to, żeby natychmiast podnieść i wykręcić właściwy numer. Wściekły wygarnąłem:

– Słuchaj, głupia dziewczyno. Ciebie zabiją, rozumiesz? Będziesz uciekać z miasta do miasta, będziesz kryła twarz. Bo twoja śliczna buzia to wyrok śmierci! Zaszczuta i wyniszczona, wpadniesz w łapy Niemców. A oni się z tobą zabawią, będziesz bita, kopana, gwałcona. Będą cię ciągnąć po korytarzu za te piękne włosy... I zabiją cię wreszcie...

Tania wydała odgłos, jakby się dławiała.

A ja wrzeszczałem:

– Zobaczysz, jak będzie fajnie, katownie gestapo to jest coś, a tyłu adoratorów to ho, ho. Będą się do ciebie zgłaszać plutonami. Użyjesz, oj, użyjesz. A dlaczego? Boś mi wierzyć nie chciała – krzyczałem do

głuchego telefonu. Przerazona Tania rzuciła słuchawkę. Znowu wykręciłem numer fotografa. Ale najpierw usłyszałem sygnał „zajęte”, a potem „nie ma takiego numeru”.

Zagryzłem wargi do krwi.

Straciłem ją. Zerwałem kontakt, zabijają Tanię, huczało w głowie.

Flacha z niebieską kartką uśmiechnęła się tryumfująco. Zerwałem nakrętkę, przechyliłem do ust. Napakowana chemią ciecz spłynęła strugą do żołądka. Nie czekając, aż podniesie bunt, pociągnąłem jeszcze raz. Czwartka wódki wypita na głodnego sprawiła, że usiadłem na podłodze, kiwając się jak w napadzie choroby sieroczej.

Przegrałem, straciłem ją. Ach, głupia, a jeszcze bardziej ja jestem durny. Jedyne, co mogę zrobić, to zapomnieć...

W metalowym koszu leżały wciąż jeszcze niedopalone szczątki po „pożegnaniu” Maryjki. Przydatny śmietnik, pomyślałem. Zebrałem materiały wyszukane przez Profesorę i swoje notatki. Bezmyślnie oczyściłem schlapane krwią zdjęcia Tani i wszystko razem wrzuciłem do kosza. Z wahaniem dołączyłem chustkę wycyganioną od Kornackiej.

Siedziałem obok śmietnika i... Do licha, facet w rozpaczy to nie jest miły widok. Powoli też znowu poczęła ogarniać mnie wściekłość. Zupełnie już bezsensowna, nie skierowana na konkret. Obiegiem wrokiem odnowione mieszkanie i dostrzegłem obok telefonu zdjęcie stryjecznego dziadka. Fotka, od której wszystko się zaczęło.

Aż mnie poderwało. Spalić zdjęcie to było nie dość. Uchwyciłem starą fotografię w obie dłonie, by ją podrzeć... Karton był zbyt sztywny. Nie ustąpił. Szarpnięty zaś powtórnie rozwarstwił się, rozpadł na dwa cieńsze kartoniki. Wytrzeźwiałem w ułamku sekundy. Oto trzymałem w ręku dwa zdjęcia. Podobizna przodka upadła na podłogę. Z drugiego, poznaczonego śladami kleju, patrzyła uśmiechnięta Tania. Wysoka, smągła, w białym kostiumie, z elegancką torebką w lewej dłoni. Na głowie miała prześmieszny kapelusik z piórkiem... Stała na tle znanych mi, choć już nieistniejących odrzwi bramy. Zdjęcie wciąż jeszcze było zbyt grube. Sięgnąłem po nóż. Delikatnie zdarłem grzbiet. Na odwrocie fotografii widniały strofy wiersza pisane w... cyrylicy. I jakiś dopisek, też po rosyjsku.

Zgłupiałem nieco. Co ja gadam – zgłupiałem całkowicie. Bo w moich czasach rosyjskiego – języka okupanta – uczono przymusowo. W szkole noszącej imię Powstańców 1863 Roku sprawą honoru było go nie umieć. Kończąc podstawówkę, nie znałem nawet alfabetu. Dopiero w technikum zostałem wzięty w obroty. Dukając, odczytałem pierwszą zwrotkę:

*Среди дождя тебя ищу
В туманных сумрачных мирах
Закрыв глаза, я превращу
В надежду боль и тихий страх.*

Z bijącym sercem sięgnąłem po słownik. Trzy godziny biedziłem się nad czterema zwrotkami, błogosławiąc nauczycielkę. Wbiła mi słówka do łba brutalnie, ale skutecznie. Wciąż po latach pamiętałem. Wreszcie skończyłem, podpis brzmiał: *Wiersz napisałam dla Ciebie, wybac, że po rosyjsku, ale to język mego dzieciństwa. Myślę w nim na granicy jawy i snu. Tania.*

Nie umiem nazwać stanu umysłu, w jakim się znalazłem. Byłem wstrząśnięty. Do głębi.

Podniosłem kartonik, na którym wytłoczono nazwę firmy. Dopisano tam ręcznie datę. JUTRZEJSZA.

Runąłem do telefonu. Palce automatycznie wykręciły znany numer. Boże – odezwał się czysty sygnał. Hura! Ale nikt nie odbierał, zacząłem tracić nadzieję. Aż wreszcie...!

– Allo? – głos był trochę schrypnięty, jakby spała lub... długo płakała.

– Taniu! Kochanie, słuchaj, przeczytam ci wiersz. Błagam, nie rozłączaj się. Wiersz tłumaczyłem w pośpiechu, więc wybac formę... Ale słuchaj... Dobrze?

– Tttak – powiedziała cichutko.

*Wśród deszczu szukam cię,
w mglistych i mrocznych światach.
Zamknę oczy i zmienię
w nadzieję ból i cichy strach.*

*Pośród śniegów i pośród kwiatów,
w cieniu brzozy na łące*

*czekaj na mnie. Ze starych snów
przyjdę, gdy nadejdzie dzień.*

*Przyjdę przez chłód dni,
przez oszalały świat pełen strat.
Marzenie jest silniejsze niż szaleństwo.
Tylko czekaj, i wierz, jak wierzę ja.*

*W tym ostatnim śnie jesteśmy razem.
I znajdę drogę przez cienie.
Pamiętaj, czekaj, bądź wierny.
I deszcz się skończy, przyjdę.*

Cisza w słuchawce była przejmująca, podkreślał ją rwany, na granicy szloch oddech Tani.

– Ja... właśnie myślałam... Tworzyłam ten wiersz. Nie zapisałam... Nie zapisałam ostatniej zwrotki.

– Taniu...

– Więc to wszystko prawda? Wojna? Śmierć?

Nie widziałem jej, ale wiedziałem, że po śniadych policzkach płyną łzy, kapiąc na kartkę z niedokończonym wierszem.

– Taniu, kochanie...

Przerwała mi, głos stracił srebrzystą barwę, coś w nim pękło:

– Jadę do Portugalii. Jeszcze w tym tygodniu.

– Taniu. Jutro przyjdzie do zakładu mój stryjeczny dziadek. Odbierze zdjęcia. Wiesz, co powinnaś zrobić?

– Taak.

– Miła, żyj i bądź szczęśliwa.

– Janku...

– Dobrze, że uczyniono dla nas ten cud. Ale... – dodałem po chwili – zakochać się w tobie to był głupi pomysł.

Usłyszałem jeszcze niewyraźny szmer, może ocierała łzy? Odłożyłem słuchawkę. Lekko, leciutko, tak by nawet nie brzęknęła.

Za oknem szumiał ulewny deszcz.

No i tak... W wyremontowanej chałupie mieszkała przez chwilę Maryjka, dość szybko porzucona przez Tada w Garniturze. Ale niedługo. Jakaś taka pospolita mi się wydała, płytka.

Lubię przywoływać te wspomnienia, są słodkie i gorzkie zarazem. Słodkie, bo ocaliłem człowieka, piękną, utalentowaną kobietę, moją największą – co z tego, że telefoniczną – miłość. A gorzkie? Ratując Tani życie, zabiłem w niej poetkę. Nie napisała tego słynnego, wstrząsającego „Non omnis...”, bo i powodu nie miała. Chyba nic już nie napisała. Nie, nie mam wątpliwości. Myślę, że przeżyła pełne i ciekawe życie, może z odrobiną melancholii. Może z mego powodu...

Dlaczego nie pojechałem do Portugalii? Kochaniutka, a o czym bym rozmawiał z prawie osiemdziesięcioletnią staruszką? Nie, czas nas rozdzielił i na to nie ma rady.

Co prawda gdy nadchodzą majowe deszcze, zdarza się, że czekam... Sam nie wiem na co. A! Rok później przysłano mi z Lizbony złotą szpilkę do krawata. I zacząłem nosić te cholerne krawaty! Tania odwzajemniła się stukrotnie. Tamtej wiosny naprawdę odmieniłem swój los. Nie, kolego, dzisiaj, przy tym stole, wszyscy jesteśmy równi i „panie doktorze” jest całkiem zbędne. Wątpliwości masz słuszne. Specjalnie mówiłem tak, a nie inaczej, byście odczuli inność Pragi, inność tamtego świata. A z drugiej strony opowiadanie historii z użyciem w każdym zdaniu słów powszechnie uznawanych za obelżywe osądziłem jako niesmaczne.

Desant? Nie, to zupełnie inna historia. Całkiem dziwaczna... Zresztą może już dość. I tak nie uwierzyliście w ani jedno słowo. Nieprawdaż? Co? Pani, urocza istota, uwierzyła? Serio? A to za jaką przyczyną? Pani była tą... szarą myszką, którą obdarzyłem różą? Niemożliwe! Ach, naprawdę? I pani też została muśnięta przez czar Tani... Hm, ma pani wolny wieczór? Zapraszam na kolację, porozmawiamy o zmienności świata tego...

Telefon? Cóż, stoi nadal w przedpokoju, ale... odłączony. Nie ma dnia, bym nie walczył z pokusą wykręcenia znajomego numeru fotografa. I dręczy mnie pytanie: kto odebrałby po drugiej stronie. Tania? A jeżeli tak, to czy historia powtórzyłaby się raz jeszcze? I czy tym razem także zdołałbym przekonać

ukochaną? Rozważania o możliwych konsekwencjach sprawiają, że odkładam słuchawkę, czując narastający aż do obłędu zamęt myśli.

Odkładam słuchawkę, bo pogodziłem się z faktem, że i ta opowieść jak wszystkie inne musi mieć wreszcie swój koniec.

Pierwowzorem Tani jest niesłusznie zapomniana wybitna poetka Zuzanna Ginczanka (1917-1944). Jej życie, twórczość, barwne i tragiczne losy wciąż jeszcze czekają na rzetelną biografię.